

Trzej przyjaciele

Parafrazując popularną w latach naszej młodości piosenkę „trzej przyjaciele z boiska” śpiewaną przez Marię Koterbską, chciałbym napisać o starej przyjaźni „wyrypiarzy”, bo tak się w czasach szkolnych nazywaliśmy od propozycji-zapytania: „gdzie idziemy na wyrype”? Wyrype oznaczała po prostu wycieczkę, a dla niektórych wycieczkę trudną, długą, wyczerpującą.

Był rok 1948, kiedy to w jednej klasie znaleźliśmy się w słynnym „Sobku” czyli, jak się ta stara buda nazywała, w III Gimnazjum i Liceum im. króla Jana III Sobieskiego w Krakowie. Ze Zbyszkim Kreskiem poznałem się zaraz po II wojnie w Szkole Powszechnej nr. 7 im. św. Floriana z ul. Pijarskiej, gdzie wylądowała ta stara szkoła podczas okupacji hitlerowskiej. Po wyzwoleniu przenosiliśmy jej dobytek na własnych plecach na ul. Szlak. Natomiast Staszka Rehmana poznaliśmy dopiero w liceum, w 1948 roku, ale szybko znaleźliśmy wspólny język i rodzinne koneksje, jako że ojciec Staszka znał jeszcze mojego pradziadka.

I tak to wspólnie zaczęliśmy chodzić w dolinki i góry. W jesieni 1950 roku przy Młodzieżowym Domu Kultury, utworzonym przy ul. Krowoderskiej w budynku YMCA, zlikwidowanej jako niesłuszna politycznie, zorganizowano kurs przodowników turystyki masowej. Turystyka bowiem dzieliła się na niesłuszną ideologicznie, przedwojenną turystykę elitarną oraz naszą, słuszną, prawdziwie proletariacką turystykę masową. My chcieliśmy po prostu chodzić na wycieczki, mało nas interesowały podziały klasowe i ideologia. Organizatorem kursu był wspinacz Wojciech Niedziałek, wslawiony wspinaczką na liczącą 100 m wysokości iglicę na wrocławskiej Wystawie Ziem Odzyskanych, którego - jak fama głosiła - za wyczyn ten wyrzucono z Klubu Wysokogórskiego.

Na tymże to kursie, gdzie z naszej klasy poza nami trzema byli Jurek Brzozowski, Tadek Drzewi, Zdzych Bartyzel, Zbyszek Buchowicz - poznaliśmy kilku kolegów z Technikum Telekomunikacyjnego z późniejszym sławnym „Puchatem”, czyli Andrzejem Kowalem; Liceum Bibliotekarskie reprezentował Zbyszek Wyźga. Były także – i to był jeden z powodów dla których ochoczo chodziliśmy na wykłady i wycieczki – dziewczyny: Basia Nieszkwiecka z bibliotekarskiego (potem studentka AWF), Stasia Barczyńska, Marta Jaksch i śliczna Kasia Niementowska którą ze Zbyszkim, koleżeńsko rywalizując, podrywaliśmy. Podczas wypadów grał na gitarze i śpiewał Leszek Idec z Krzeszowic. Uczyli nas turystyki wielcy ludzie: Kazimierz Sosnowski – miły, sympatyczny staruszek, nawet nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z jego zasług i osiągnięć dla polskiej turystyki i krajoznawstwa, Bohdan Małachowski – dyrektor krakowskiego biura PTT, Władysław Krygowski – niedawno przybyły do Krakowa po pobycie w obozie jenieckim i na Zachodzie, Adam Alberti, Zbigniew Jaworski, Fryderyk Kędzior i inni.

Lansowany przez Niedziałka styl chodzenia po górach wydawał nam się (bo i przecież był) dość osobliwy: trzeba było pod górę pędzić z wywieszonym językiem (100 metrów biegiem, 200 metrów szybkim marszem – komenderował instruktor), aby schodząc odpoczywać. Wtedy właśnie, a były to jeszcze czasy PTT, zaczęliśmy zbierać punkty do GOT-u i jak mieliśmy normę na odznakę brązową wyczytaliśmy, że przy Oleandrach mieszkają państwo Krygowscy. Poszliśmy więc, aby uzyskać podpisy w książeczkach GOT. Otworzył nam osobiście sam wielki Władysław Krygowski w swetrze wytapetowanym odznakami turystycznymi jak nie przymierzając marszałek ZSRR. Wpadliśmy w cielący zachwyty i zaczęliśmy go naśladować, choć i jemu i nam dość szybko to przeszło.

Większość z nas będących już, po odbyciu wspomnianego kursu, „przodownikami turystyki masowej”, uzyskała status przodownika GOT na wiosnę 1952 roku. Zimą 1950 roku nastąpiło połączenie PTK i PTT w jedno PTTK, wtedy to naszą sekcję turystyczną przy MDK

zarejestrowaliśmy jako Koło PTTK przy Młodzieżowym Domu Kultury; było to z całą pewnością jedno z pierwszych, (jeśli nie pierwsze) w Polsce młodzieżowe koło PTTK. Ja zostałem jego prezesem (tak też mnie Zbyszek, w przystępie dobrego humoru, tytułuje do dziś), sekretarzem Zbyszek Kresiek). Szybko awansowaliśmy w pracy społecznej: zostaliśmy członkami Okręgowej Komisji Turystyki Pieszej, przodownikami turystyki pieszej, zdobywcami kolejnych stopni Odznaki Turystyki Pieszej. Jako młodzi i pełni energii zaczęliśmy intensywnie chodzić i malować szlaki turystyczne. Pierwsze w moim życiu zielone znaki namalowałem wraz ze Zbyszkiem na pniu wierzby na szlaku z krakowskiego Salwatora do Krzeszowic. Ze Staszkiem wymalowaliśmy szlak zielony z Moniakówki w Zubrzycy Górnej na Krowiarki i odnowiliśmy część głównego szlaku z Krowiarek na Policę.

Z ciekawszych wypraw ze Staszkiem utkwiła mi w pamięci wyprawa zimowa na Turbacz pod koniec 1050 roku. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem filmu "Scott na Antarktydzie", postanowiliśmy zatem zdobywać tę górę z saniami ekspedycyjnymi. Było nas pięciu: Staszek, Andrzej Rzepecki - mój przyjaciel ze szkół i konspiracji, Jędrzek Kowal z którym przeszedłem później szlak Zachodnio-Beskidzki, najmłodszy z nas Piotrek Golonka i oczywiście ja. Na dworzec odwiózł nas ojciec Staszka zabytkowym samochodem Skoda z lat 20-tych. Obladowani jak juczne muły, bo to plecaki, narty, sanie żelazne, zdołaliśmy wspiąć się na Maciejową. Widząc zbliżającą się noc (a był to sam koniec grudnia) postanowiliśmy zjechać do Rabki. Z Andrzejem Rzepeckim liczyliśmy, że z pozostałymi członkami wyprawy spotkamy się na dworcu kolejowym. Jakież było nasze zdziwienie, jak kolegów nie znaleźliśmy. Po nocy spędzonej w zimnej poczekalni postanowiliśmy szukać domu kominiarza, licząc - jak się okazało słusznie - że tam znajdziemy kolegów (ojciec Staszka był dygnitarzem cechu kominiarzy). Po znalezieniu w ciepłych łóżach kolegów, my z Andrzejem też poszliśmy w objęcia Morfeusza. Na Turbacz ruszyliśmy dopiero 29 grudnia, spaliliśmy w szałasie w pobliżu szczytu paląc watrę całą noc. Było okropnie zimno, kubek z gorącą herbatą postawiony za plecami momentalnie się wyziębiał, a herbata stawała się „ice”. 30 grudnia via szczyt Turbacza z ruinami schroniska, przez Polany Waksmundzkie zjechaliśmy do Nowego Targu; po powrocie do Krakowa Sylwester, a po świetnej zabawie okazało się, że mam zapalenie płuc.

Sezon wiosenno-letni 1951 roku mieliśmy bogaty; pamiętam, że w dniu rozdania świadectw maturalnych ze Staszkiem i Jurkiem Brzozowskim (Zbyszek odbierał nasze świadectwa) poszliśmy w Tatry - wtedy to na Czerwonych Wierchach wiatr zwał mi z głowy czapkę gimnazjalną specjalnie upiętą w "grzebień" jak nakazywała ówczesna moda. Natomiast po maturze ze Zbyszkiem i Staszkiem zrobiliśmy dłuższą „wyrpę” na Babią Górę na trasie Osielec – Polica – Krowiarki – Babia Góra – Markowe Szczawiny – Zawoja – Sucha. Szło nam się tak dobrze, że na szczycie Babiej Góry mieliśmy wielką ochotę iść dalej na Pilsko i nocować na Hali Miziowej (piękne schronisko spłonęło dopiero dwa lata później); rozsądek zwyciężył i nocowaliśmy na Markowych Szczawinach.

Dostałem się na wydział historii UJ, Zbyszek (po roku przerwy) na dziennikarstwo też na UJ, Staszek na Politechnikę. Z nim to właśnie wczesną jesienią 1952 r. i znakowałem zielony szlak z centrum Zawoi na Halę Krupową. Noc z 30 września na 1 października, dziko zmachani, przespaliśmy się w centrum Zawoi. Malując znaki przeszliśmy przez Halę Krupową zbierając masę rydzów i doszliśmy do Osielca, by wrócić do Krakowa i rozpocząć rok akademicki. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po otwarciu drzwi w mieszkaniu, już w przedpokoju zostałem podparty z dwóch stron pistoletami. Okazało się, że w domu jest „kocioł” założony przez bezpiekę, od dwu lat bowiem bawiłem się w antykomunistyczną konspirację i władza ludowa uznała, że pora już tę zabawę przerwać. Pozwolono mi zostawić rydze, pożegnać się z matką i siostrą, poczym czarnym Citroenem przewieziono mnie do

siedziby Urzędu Bezpieczeństwa na placu. Inwalidów (drugim Citroënem jechał Zbyszek Kresiek, który wraz z ponad dwudziestoma kolegami i koleżankami, też wpadł do kotła). Po wstępnym śledztwie przewieziono mnie na ul. Montelupich, gdzie na parterze słynnego więzienia był oddział śledczy UB. Wylądowałem w celi 11 znajdując doborowe towarzystwo. Stukając alfabetem Morse'a dowiedziałem się, że w celi 10, czyli przez ścianę, siedzi Zbyszek (nie był członkiem organizacji, ale – jako mój najbliższy przyjaciel – wiedział o wszystkim). Wystukałem, aby szedł w „zaparte” i że go nie obciążam (był taki paragraf w małym kodeksie karnym, zwany „wiedział nie powiedział, będzie siedział” - kara do 5 lat). To zatrzymanie Zbyszka na prawie 2 miesiące niezbyt sympatycznego śledztwa skomplikowało mu życiorys i studia. Natomiast Staszek Rehman wpadł jak i Zbyszek Wyżga do „kotła” w moim mieszkaniu, a kiedy Staś nie pojawił się w domu, wpadł do kotła jego ojciec.

Wyszedłem z więzienia w 1955 roku i od razu udałem się do Komisji Turystyki Górskiej na Plac Wszystkich Świętych, gdzie radośnie powitali mnie Bohdan Małachowski i Władysław Krygowski.

Stwierdziłem, że mam dużo czasu, skierowali mnie więc na kurs znakarski w Górach Świętokrzyskich; kurs prowadził Edek Moskała i tak się zaczęła nasza przyjaźń. Dość dużo znakowałem i jako pomocnik instruktora - Edka pomagałem podczas kursów w Beskidzie Niskim (z zakończeniem w Komańczy), w okolicach Limanowej i Mogielicy, oraz w kotlinie Kłodzkiej z zakończeniem w Dusznikach. Wspomniani panowie z KTG zlecali mi prowadzenie 2 tygodniowych wędrownych wczasów górskich; prowadziłem najwięcej na Szlaku Sądecko-Pienińskim, Żywiecko-Babiogórskim i w Beskidzie Śląskim. Na szlakach tych, poza moimi kolegami ze Zbyszkiem Kreskiem na czele, prowadzili turnusy inni wybitni turyści, że wspomnę tylko Marka Tarnowskiego - słynnego narciarza alpinistę i Wojtka Komusińskiego - gwiazdę prastarego „Nowodwórka”, gdzie cieszył się sławą znakomitego matematyka.

Do dziś mile wspominam z okresu prowadzenia wczasów wędrownych z Rabki Elfrydę i Czesława Trybowskiich oraz rodzinę Klempków prowadzącą dom wycieczkowy „Turbacz” przy dworcu kolejowym, z obozowiska domków kempingowych w Czorsztynie (dziś zalanego wodami Zalewu Czorsztyńskiego) panią Helenę Burdiakową, a z „Orlicy” w Szczawnicy wspaniałego Czesława Winiarskiego, z którym rozegraliśmy niejednego roberka. Przeurocze było małżeństwo państwa Czeczów na Markowych Szczawinach.

Edek Moskała wciągnął mnie, wraz ze Zbyszkiem, do Podkomisji Historii i Muzealnictwa; wspólnie organizowaliśmy pierwsze muzeum turystyki górskiej na Markowych Szczawinach. Z racji uczestnictwa w Podkomisji Robót w Górach kontrolowałem i odbierałem szlaki, najczęściej w Sudetach. Jako przyjaciel Edka Moskały wstąpiłem do założonego przez niego Klubu Baców PTTK. Tu trzymam się najbliżej z Wickiem Cieślewiczem (znajomość od 1951 roku) i współzałożycielem Klubu, Jurkiem Klimińskim – budowniczym obiektów górskich i ratownikiem GOPR.

Zbyszek, zaczynając pracę w PTTK od gońca, szybko „poszedł w dyrektory” - zawsze w PTTK, gdzie pobił rekord stażu pracy - 53 lat, stale w PTTK, zmieniając tylko stanowiska i uzyskując niezliczone honory i godności, do tytułu Członka Honorowego PTTK włącznie. Staszek natomiast budował tu i ówdzie, nawet za granicą. Od kilku ładnych lat jeździmy ze Zbyszkiem do „ciepłych krajów”, wspominając swe „przewagi” młodzieńcze i sukcesy u dziewczyn. Ze Staszkiem spotykamy się raczej na naszych szlakach, ja go odwiedzam w jego chacie w Zakamionku na Orawie. Obu goszczę w mojej Chacie na Magórcie, tej na styku Stryszawy, Zawoi i Suchej; na mapach jest oczywiście Magurka, ale to moja górką od ponad 30 lat i na mój prywatny użytek pozostanie Magórką.

Marek Eminowicz